Na progu

BIBLIOTEKA
Związku Literatów na Mazowszu
TOM 31

Stanisław Kęsik

Na progu

Wstępem opatrzył
Artur Ziontek

Związek Literatów na Mazowszu
Ciechanów 2014

Redakcja
Artur Ziontek

Przygotowanie materiału
Monika Samuel

Korekta
Aneta Samuel-Ziontek

Projekt okładki
Stanisław Kęsik

Grafika na okładce i wewnątrz tomu
Rafał Kado

© Copyright by Stanisław Kęsik i Związek Literatów na Mazowszu,
Ciechanów 2014.

ISBN 978-83-62450-33-6

Wydawca:
Związek Literatów na Mazowszu
ul. Strażacka 5
06-400 Ciechanów
www.zlmaz.pl

Skład i łamanie
Artur Ziontek

Spis treści

Wstęp

Artur Ziontek: Enklawy spokoju. Dziennik istnienia Stanisława Kęsika 9

... bliskie

Na progu 19
Wyjścia 21
Z Ościsłowa pieśń 22
* * * [w drodze wciąż płaskie schody] 23
Malwy 24
Mrówki noszą Tobie 26
A teraz 27
Jan Ewangelista 28
Zatrzepotać 29
* * * [gdy wiatr się zestarzeje] 31
Wielkanoc 32
Żywot Józefa 33
Niedziela dni naszych 34
Nie 36
Kosmici 37
Na skraju miast 38
Przed księżyca drogą 39
Pisane nocą 40
W kieszeniach 41
Szukaj mnie 42

O Ziemi ... 43
Nie jesteś pomyłką ... 44
Przetrwałem ... 46
Lustro namalowane ... 47
Głos I ... 48
Poranne studium ... 50
Ludzie po mnie ... 52
Godzina spokoju ... 53
Ościsłowski las ... 54
Dom wierszem stawiany ... 56

... innym

Piętno Norwida ... 59
* * * [Nad Katyńskim Krzyżem w Ciechanowie] ... 60
Patrz ... 61
Miastu ... 63
Uścisk dłoni ... 64
W ogrodzie pomocy ... 65
Droga do sierocińca ... 66
Pogawędka z Sarkandrem ... 67
Wśród wierszy ... 68
Ballada o Staszku Przychodnym ... 69
Marie bezdomnych ... 71
Spóźniony wiersz z Białowieży ... 72
TRYPTYK
Miłości Pisania Prawdy
I Miłość ... 73
II Pisanie ... 74
III Prawda ... 75

Osobisty dopis do 1863 r. ... 76
Bez kategorii ... 77
Wolne miejsca ... 78

Wiersz znoszony 80
Krótka ballada o szczęściu 82
Stagnacja 83
Przez pamięć 84
Maria Skłodowska-Curie /czyli o miłości
która schodziła w ciszy/ 85
Prowincja 86
Sny o Dusznikach 88
Obrazów dojrzewanie 89
Rzeźby w drodze 90
Gołotczyźniana refleksja 92
Do przyjaciół Belgów 93
Siebie dzierżąc 94
Muzyka Apollina 96
List z drogi I 97
List z drogi II 98
Do doktora teologii 99
Zapóźnieni kochankowie 100

... w drodze

Kształty wyśnione 105
Zostać w Opinogórze 106
Opinogóra wieczorem 108
Na deszczowy wjazd do Verony 109
Tętno 1051 110
Czarnulka z Montserrat 112
Wieczór w San Sebastian 113
Wiersz Alpejski 114
O Gaudim 115
Z poetą 116
Dom w Lourdes 118
Schody zamiast balkonu 119

„Taormina” 120
Caravaggio 121
Lwowska nuta..... 122
Prośba o świętego..... 124
Lato w Purdzie..... 125
Ciechanów Konopnickiej 126
Konstrukcja doskonała 128
Granice Ciechanowa 129
Aforyzm dla Ciechanowa..... 130

ARTUR ZIONTEK

Enklawy spokoju
Dziennik istnienia Stanisława Kęsika

Twórczość poetycka poszczególnych okresów jest ciekawym nośnikiem wiedzy o mentalności i kulturze czasu, w którym powstawała. Wszak mniej lub bardziej świadomie przesiąka tym, co stanowi chleb powszedni dla twórcy. Nic zatem dziwnego, że dzisiejszy język poetycki stara się niekiedy dogonić tępo życia. Grzegorz Przepiórka mierząc się z tym pędem, który powoduje dewaluację wartości i zaburza ich hierarchię, pokazywał – egzemplarycznie – jak dziś wyglądałoby przekazanie wieści o śmierci Chrystusa.

Według doniesień
w wieku 33 lat
w bestialski sposób
zamordowany został
Jezus Chrystus.
Sprawców nie ujęto[1].

Krótka, cięta forma podana jako „news" w serwisie informacyjnym wbrew pozorom zawarła w sobie najważniejsze, dla współczesnego odbiorcy, informacje – zabito brutalnie, ofiara była młoda, sprawcy wciąż na wolności. Tyle i tylko tyle da się zawrzeć na niewielkim pasku biegnącym u dołu telewizyjnego ekranu. Tak właśnie podmiot wyobraża sobie dzisiejsze podanie do powszechnej wiadomości informacji

[1] Grzegorz Przepiórka: *Aneks.* Wstęp Artur Ziontek. Siedlce 2008, s. 43.

o zbawczej śmierci Chrystusa. Zbawczej, bo słowa są wciąż kierowane do tych, którzy we wspólnocie uczestniczą oraz do samego siebie-szukającego i pytającego. Stanowią więc formę namysłu i obserwacji. Owa krótka forma odzwierciedla to, co można dostrzec w konsumpcyjnym społeczeństwie będącym wciąż w biegu. Uchwycić da się (tylko) tyle właśnie i w takim porządku. Choć przecież tak serwowane wiadomości niewiele wyjaśniają, raczej rodzą pytania, a zgrupowane tworzą szereg enigmonimów. Nie wskazują odpowiedzi, sugerują jedynie, w którą stronę skierować wzrok[2].

„Połebkowość" i chaotyczna fragmentaryczność to naturalny efekt współczesnego życia. Choć tak, jak na przestrzeni dziejów niejednokrotnie ujawniała się niechęć do – celowo to uogólniam – „miejskiego materializmu", czego efektem była pochwała prowincji i jej arkadyjskości, tak dziś zauważamy zjawisko nieco podobne. Daje się właśnie uchwycić wewnętrzny sprzeciw i zmęczenie pędem – zwłaszcza do kariery i zachłannego kolekcjonowania pieniędzy. Z jednej strony oznakami luksusu są dobra pomnażane do granic rozsądku i własny terapeuta, z drugiej zaś nie zachłanny żywot, pamięć przeszłości własnej, rodzinnej oraz kulturowej, zakorzenienie[3] i naturalna terapia idąca w głąb symboliki przyrody.

Mimo trudnych i „wyduchowionych" czasów poezja, choć jest w pozycji defensywnej – trwa. Poezja jest inteligentna, umie dostosować się do rzeczywistości. Stoi, jak i całe dziedzictwo kulturowe na straży naszego człowieczeństwa. Tom wierszy *Na progu* Stanisława Kęsika, który

---

[2] Artur Ziontek: *Siedleckie miniatury. Eseje o literaturze i kulturze.* Siedlce 2009, s. 227.

[3] Zob. Simone Weil: *Zakorzenienie.* W: *Dzieła.* Tłum. Małgorzata Frankiewicz. Poznań 2004, s. 953.

otwiera właśnie przed czytelnikiem swe podwoje, pokazuje to z mocą i dobitnie.

Stanisław Kęsik jest poetą o ukształtowanej sylwetce twórczej. Książkowo debiutował w roku 1986, kiedy to ujrzał światło dzienne tomik *Schody*. Potem były *Witraże* (1991), *Pod stopami tęczy* (1994), *Wysokie trawy* (2001). Mimo, iż ostatni tom wydany został 13 lat temu, nie znaczy to, że autor próżnował artystycznie. Jego wiersze ukazywały się na łamach czasopism oraz w wydawnictwach zbiorowych. Pokłosiem tych lat i rozdrobnionych publikacji jest książka niniejsza – wysmakowany wybór wierszy pełnych wewnętrznego ciepła i duchowego spokoju, ale nieobojętnych na to, co najbardziej współczesne. Raczej podejmujących dyskurs nad kondycją dzisiejszego człowieka, jego wyborami oraz wyznawanymi wartościami.

Tytułowy i zarazem inicjujący wydawnictwo wiersz *Na progu* jest kapitalnym wprowadzeniem do lektury całości. Pokazuje pewne dysonanse egzystencjalne, które są znaczące dla rozumienia autorskiego przesłania.

Ta najdalsza pamięć
Zapisała wygładzony pień
Za którym chłodna sień
Z wiadrem źródlanej wody
I schodami na strych.
Ten obraz jest, bo był.

Dziś na progu
Otwartych drzwi
Jakże trudno przysiąść
Jakże trudno stać.
Te zabiegane wahania
Łamiące rytmy zegara
Porządki dnia i nocy
Jakże zacząć i skończyć.

Obie strofy zaczynają się odwołaniem do kategorii czasu. W pierwszej mamy odległą przeszłość, niejako prapoczątek wszystkiego – „najdalszą pamięć", w drugiej – „dziś". Pierwsze obrazki, odwołujące się do przeszłości, ukazują desygnaty sielskiej przestrzeni domu – chłodna sień, wiadro źródlanej wody i schody na strych. Odczytujemy tu wiejski dom, zapewne z czasów dzieciństwa podmiotu, ale nie wydaje się to jedynie ciepłym wspomnieniem. Bardziej daje się tu zauważyć pewien projekt egzystencji. Ów dom jest bowiem symbolem wytchnienia, bezpieczeństwa i spokoju. Precyzyjnie jesteśmy prowadzani od wejścia (sieni) po ostatnie pomieszczenie (strych). Otwierający się przed czytelnikiem dom daje ukojenie już u wejścia, wszak chłodna sień chroni przed upałami lata. Strych natomiast jest miejscem niezamieszkałym, ale wieńczącym całość – tu przechowywano rzeczy, które chwilowo nie były potrzebne, bywały dokumenty, czasami zaś rozmaitości, które pozostały po zmarłych członkach rodziny, a których nie chciano pozbywać się na zawsze. Niekiedy zasób ten narastał pokoleniami, toteż sam strych jest rodzinną przechowalnią pamięci. W powszechnym przekonaniu, zwłaszcza dziecięcym, strych jest nośnikiem tajemnic. Dzieci broni się przed wchodzeniem tam ze względów bezpieczeństwa, a to trudna do pokonania drabina, a to zmurszała podłoga itd. „Zdobycie" strychu jest ostatnim stopniem wtajemniczenia w dom. Pełna znajomość przestrzeni daje symboliczne poczucie bezpieczeństwa i pewności, których nie burzy już obawa przed nieznanym.

Między sienią a strychem, czyli po środku stoi wiadro ze źródlaną wodą. Nie bez kozery mowa tu o źródle a nie, dajmy na to, studni. Woda źródlana jest zimna (wspomaga symbolikę chłodu sieni), ale przede wszystkim – czysta, wypływa z wnętrza życiodajnej Ziemi. Symbolika samego źródła jest rozległa. W tradycji widziano w nim prawdę, świadomość duchową, mądrość, erudycję, rozsą-

dek, sprawiedliwość, obraz duszy, natchnienie poetyckie, pamięć, Boga, życie, siłę życiową, wieczny żywot; cudowne pokrzepienie, odnowę a w końcu ozdrowienie[4]. Umieszczenie „źródlanej wody" w centralnym miejscu przedstawienia domu, między początkiem a końcem, pozwala nam widzieć jej szczególne znaczenie. Ten dom więc żyje i daje życie. Mowa tu oczywiście nie tyle o budynku, ale domu jako rodzinie, to ona stanowi jego fundamenty.

Strofa druga nie staje w opozycji do pierwszej, czego można by się spodziewać. Raczej wskazuje na nieprzystawalność pielęgnowanej w sobie idyllicznej wizji do realiów dzisiejszego dnia powszedniego. Nawet stojąc na progu domu przed zapraszająco otwartymi drzwiami nie jesteśmy w stanie przekroczyć gościnnego progu. To wymaga spokoju i wyciszenia. Tymczasem uczestnikom sytuacji towarzyszą „zabiegane wahania" i zawłaszczający egzystencjalnie „rytm zegara". Wszystko podporządkowane jest czasowi, ale nie w wymiarze metafizycznym. Na metafizykę nie ma tu miejsca. Niczym „mechaniczny człowiek" (mówiło o tym już oświecenie) dajemy się wprowadzać w tryby życia wyznaczanego przez zajęcia dzienne i nocne – pracę i odpoczynek. Metafizyka bycia jest pewnie gdzieś obok, ale trudno w niej się zagłębić, skoro zewsząd dobiegają odgłosy współczesności.

Podmiot wierszy Stanisława Kęsika rozpoznaje doskonale czas dany i czas utracony. Czasami może się wydawać nawet, że (samo)świadomość przychodzi za późno. W utworze *Wyjścia* daje się to odczuć z mocą.

Poeta za sprawą obrazów towarzyszących poszczególnym etapom ludzkiego życia (rozkrzyczana kołyska, niedojrzała młodzieńcza miłość, dorosłe arkadyjskie powroty) śmiało sięga po refleksję egzystencjalną. Z punktu wi-

[4] Władysław Kopaliński: *Słownik symboli.* Warszawa 1990, s. 501.

dzenia swej dorosłości podmiot dokonuje rewizji dotychczasowych doświadczeń i postaw. Analizuje swój czas utracony. Ma jednak świadomość, że na to, co nastąpi później wpływ mają decyzje podejmowane od najmłodszych lat. Po raz kolejny wraca tęskną myślą do wiejskiej scenerii dzieciństwa w kartoflane bruzdy, sady wyrosłe pod niedojrzałą miłość, lasy... Może „trzeba było się zgubić" w nich? Zatracić i uchronić przed goryczą dorosłości. Między wierszami odczytujemy nie tylko przywiązanie do krajobrazów, ale i całego otoczenia rodzinnego. Brzemienne w skutki wybory powodują, że chcąc w pełni wrócić należy najpierw ukorzyć się przed samym sobą i zdać sobie sprawę z niedojrzałych poczynań. Stąd „powroty różańcowe", „woreczki wstydu" u szyi i krwawiące od pokuty kolana. Czy to daje ukojenie? Raczej nie. Do pełnego oczyszczenia potrzebna jest jeszcze „próba wody". Tyle, że jak uczy historia jest to próba, z której człowiek nie ma szans wyjść zwycięsko. I w tym chyba tkwi sedno. Może podmiot, podobnie jak niegdyś czarownice, dla których ów specyficzny test wymyślono[5], ma świadomość nieuchronności swego przeznaczenia? Może wie, że w jakikolwiek sposób nie próbowałby się tłumaczyć (przed sobą, innymi, Bogiem) wyrok, jak niegdyś w przypadku czarownic, jest i tak przesądzony. A może po prostu wie, że powroty nie udadzą się w pełni? – w myśl słów Heraklita, iż „niepodobna wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki".

W tym właśnie siła poezji Stanisława Kęsika – mimo wyczuwalnego w niej silnego ładunku egotycznego – całość nabiera charakteru pierwszorzędnej wagi uniwersaliów, może nawet generaliów. Poetyckie rozważania nie są tu formą intymnego dziennika, czy tym bardziej – częstej

[5] Zob. Jakub Sprenger, Henryk Instytor: *Młot na czarownice. Postępek zwierzchowny w czarach, a także sposób uchronienia się ich, i lekarstwo na nie w dwóch częściach zamykający*. Tłum. Stanisław Ząbkowic. Red. Robert Lewandowski. Wrocław 1992 (pierwodruk 1614).

w poezji współczesnej – ekshibicjonistycznej konfesyjności[6]. Przybierają formę dziennika istnienia. Oczywiście nie mamy na myśli dziennika w dosłownej postaci genologicznej. Jednak z czasu spisywane wiersze są efektem kumulujących się każdego dnia obserwacji. Przy czym nie dotyczą one jedynie defensywnego egzystowania, jako „dożywotni dzierżawcy swego ciała" – mówiąc za Kazimierzem Świegockim[7]. Ów żywot jest – tak jak i u Świegockiego zresztą – intensywny intelektualnie, płodny, twórczy a mimo pozornej spolegliwości – twardo stojący na ziemi i wyposażony w oręż do walki z niegodziwościami współczesnego hałasu. Orężem tym jest nieustanna ufność w moc kultury i niemal dziecięco naiwny zachwyt przyrodą. Kultura jest tu kształtującym nas dziedzictwem i trwałą wartością epistemologiczną; przyroda, nieco w duchu XVIII stulecia i XX-wiecznego autentyzmu, ma moc ocalającą, jest ideą pierwotnego piękna, dobroci, czystości, dziewictwa. Oto więc poza wszystkim innym przebija z tej poezji także bezcenna – w duchu braudelowskim – ciągłość idei. Z jednej strony echo poetów i myślicieli oświecenia (nie bez kozery Teresa Kostkiewiczowa określiła tę epokę „progiem naszej współczesności"[8]) z drugiej zaś pogłosy świetnie opisanych przez Świegockiego poetów z nurtu autentyzmu[9].

Osobno natomiast pojawi się na kartach tego tomiku Maciej Kazimierz Sarbiewski – barokowy poeta i teoretyk literatury. Dedykowane mu wiersze, motto zaczerpnięte z jego twórczości oddają tyleż samo żywotność chrześcijań-

---

[6] Przy czym sama konfesyjność ma w literaturze znakomite tradycje. Zob. choćby Ryszard Chodźko: *Konfesja podmiotowa w polskiej prozie kreacyjnej*. Białystok 1993.

[7] Kazimierz Świegocki: *Nocne medytacje*. W: *Poezje wybrane*. Warszawa 2004, s. 103 (seria: „Biblioteka Poetów").

[8] Teresa Kostkiewiczowa: *Oświecenie – próg naszej współczesności*. Warszawa 1994.

[9] Kazimierz Świegocki: *Światopogląd poetów ziemi*. Siedlce 1996.

skiego Horacego, ile wielkie zainteresowanie nim w ciechanowskim zakątku Mazowsza.

*

Poezja Stanisława Kęsika urzeka czytelnika od pierwszych kart tomu. Jej naturalny spokój, stający się z czasem programowym *credo*, daje wytchnienie odbiorcy i pozwala na mentalne odejście od zgiełku mediów i krzykliwych wydarzeń. Obcując z tą literaturą odbiorca zanurza się razem z jej autorem i podmiotem w enklawy spokoju pośród palącego zboże słońca, dających zbawienny cień drzew i wielobarwnych kwiatów.

Ujawnia się przy tym również pewien rozsądek kompozycyjny, dzięki czemu zespół wierszy, nieplanowanych raczej z góry jako całość, zyskuje pod jedną okładką spójną postać intelektualną i artystyczną.

...bliskie

Na progu

Ta najdalsza pamięć
Zapisała wygładzony pień
Za którym chłodna sień
Z wiadrem źródlanej wody
I schodami na strych.
Ten obraz jest, bo był.

Dziś na progu
Otwartych drzwi
Jakże trudno przysiąść
Jakże trudno stać.
Te zabiegane wahania
Łamiące rytmy zegara
Porządki dnia i nocy
Jakże zacząć i skończyć.

Na progu ogrodów
Gdzie owoc lakierowany
I krzewy słów z kwiatami
Pytajników w kolorze tęczy.
Ten próg męczy.

Wygładzony marzeniami pień
Którego cień się zniża,
Jak cień od krzyża.
Jakże trudno przysiąść
I stać na progu.

Wyciągnąć dłoń, zaufać
Z biciem serca
Jak kukułki głos.
Próg i jego cień
W każdą noc,
W każdy dzień.

Wyjścia

Od kołyski rozkrzyczanej,
Która w wielkie ręce
Dobra bądź zła wpada.

Przez kartoflane bruzdy,
Którymi potoki wzrastające
Płyną.

I sady pod miłość
Wyrosłe
Niedojrzałą.

A poza las
Poza dom
Trzeba było się zgubić.

Te powroty różańcowe
Pokrwawionych kolan,
Z woreczkami wstydu u szyi.

Pozostała próba wody
I wyjścia na brzeg.
Jak wyjść?

Z Ościsłowa pieśń

Ostrze słowa
Pielęgnowane tu od stuleci.
Wydarło piędź ziemi
Pod bochen chleba.

Osadzone na drzewcu
Broniło domów.
Na koniu galopowało
Poza tajemnicę zarazy.
W radzie zadziwiało,
Ustach poety – kochało.

Dziś nad kołyską wieku
Pęka pomarańcza słońca.
Mgła zaplata warkocz traw,
A niebo pokosy bałwani.
Wiązy mrużą oczy
I miedze ciężarne dyniami.

Z ostrza to widzenie
A kośćca wytrwanie.
Z ości słowa
Pieśń zostanie.

* * *

W drodze wciąż płaskie schody
I koszule z gazet.
Urodzić się jaskółką
Lub fortepianem…

Bruk ma tyle nie nazwanych
Kamieni.
Obok piach może się tylko
Zmienić.
Ręce – siostry zagniewane
Nie przygarną.
Po nitkach deszczu
- Weźmiesz?!

Malwy

Suchy już komin w lipcowym słońcu
Cienia język zawiesił tak krótki,
Że z rumianku w zielonym podwórku
Uciekają pszczoły pod dachu bródkę.

A dom zielony jak reszta wokoło
Oparty rękami w ogrodach,
Straż wystawił strzelistą, czerwoną
W szeregu malwianym, w płotach.

Rozchylone serca płatkami
W niebo podchodzą.
Teraz na pewno zobaczysz
Modlitwę kwiatową.
Te na kolanach dla świerszczy
By lato trzymały na skrzypcach.
W zasięgu słowa – dla Krzysia
Bo więcej niż jedno mu trzeba.
Zielone główki, to matczyne.
Zerwane więdną w pamięci…

Ościsłowo, lipiec 1990

Mrówki noszą Tobie

Pamięci Mamy

To już lipiec białych kartek
Krąży pszczoły.
Ciepły jeszcze czas
W pamięci sypie żwir.
Ciche miejsca bolą.
Ale…

Ale Tobie mamo
Pod tą ciszą…

Popatrz: grabią siano,
Suszą grzyby,
Pieką chleb
- idzie deszcz.

Tobie mrówki noszą
Zapach lasu,
Słońca blask
- Odpoczywasz

Ale my…

Mrówki noszą Tobie,
Idzie deszcz,
Jak Ci jest?

A teraz

Pamięci Mamy

A teraz kiedy chłody kamienne
I pejzaż w krzyż zgubiony pod lasem
Każdy poranek tak kruchy jak ciasto
Zagniecione przed niedzielnym obiadem.

Tyle przyjść spóźnionych
W magiczne punkty na progu
Wiersze gdzieś rzucane
W szafy dobrego zwyczaju

Nie nauczyłem się tęsknić do końca
W ten czas niepoukładany
Teraz tylko świt opada-
Krótko jak lato – kasztanami.

Wychodzę by powrócić przed wyjściem
Szukam żeby nie znaleźć
I nie wiem jak zatrzymać prawdę

A teraz kiedy chłody kamienne
Nie mogę dopisać
Dni, wieczorów i ogrodów Twoich oczu

Jan Ewangelista

Ojcu

Brał swoje pióro od sianokosów,
Siadał na kierzku ziemi,
Gdzie wiatr na podwieczorek cichnie.
Kłaniał się Dziadom
Przed lustrem Stawnicy
I pisał jasno niebieskim wierszem,
Suchym w trzask sierpniowej słomy,
Bielszej od skowronkowych kos.

Uważnie – litera za literą –
Przekładał kartki na następny rok.
Wiedział dobrze jak w kopalniach
Oczy wilkom szarzały
A odwrócone stołki
Zapisane na twardym dysku pleców
Nie skrzypną kołysanki.

Z Panem Bogiem Sulerzyskim
Płoty reperował wokoło.
Nie szukała Go gazeta
I zwarte szeregi zaklinaczy

Pozostał zapach ziemi
I wyprostowane litery…

Zatrzepotać

Zatrzepotać w soli
Jak słowik na białym kredensie
w domu.
Pod cieniem zadrzewionych okien
pelargoniami
Zatrzepotać w ust czereśni
zgryzionej, słonej.

Nie mówić, że to zmyślone
Łzy solno-kryształowe,
Po sosen podłodze
Toczone przez żuki
w nowe.

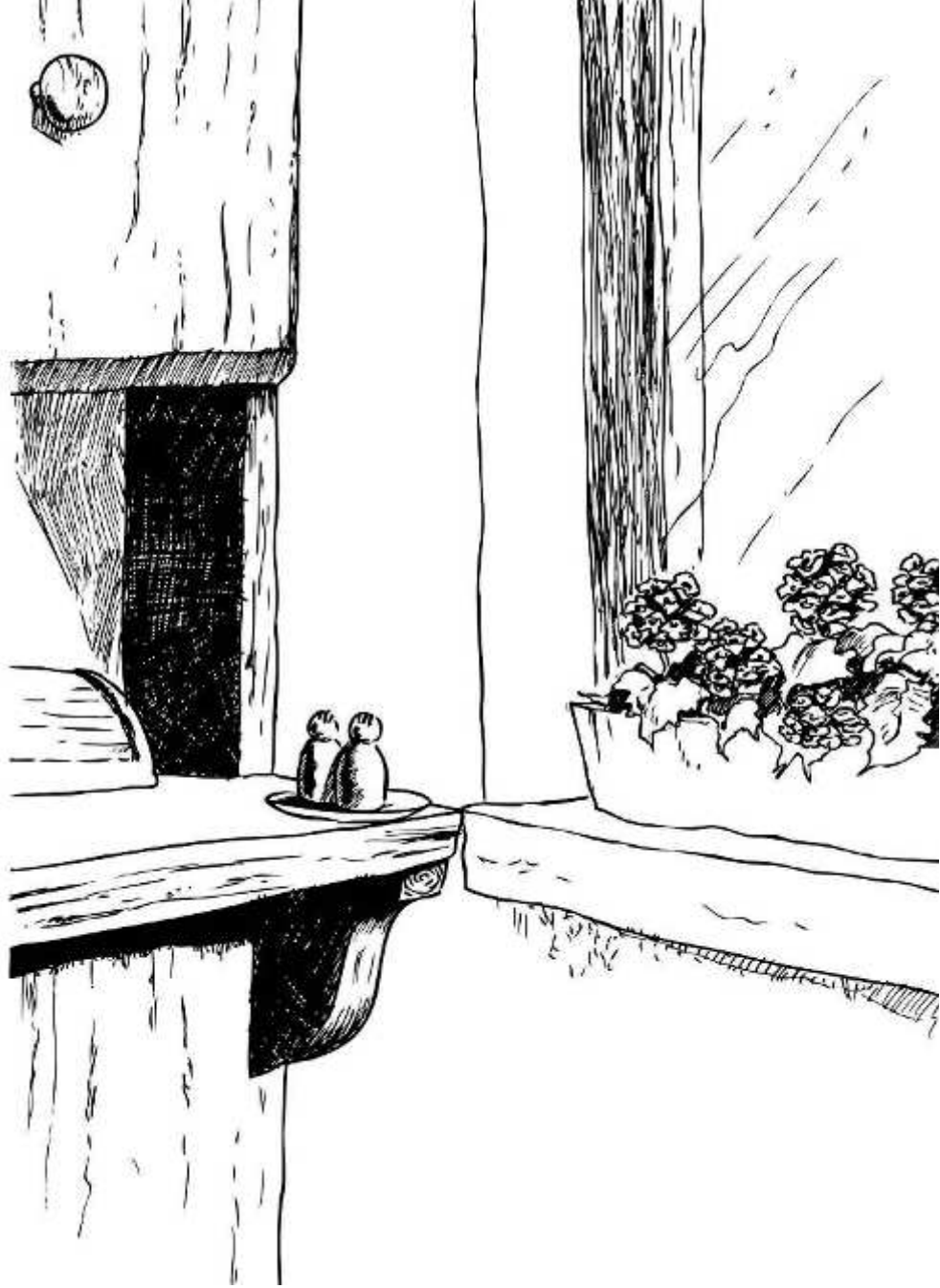

* * *

Synowi

gdy wiatr się zestarzeje
będziesz rozsyłał pszczoły
w pola.

W rzekach skamieniałych
Popłyniesz z rybami.

Z wierszy
Wyjmiesz żebro

A jak się dzień będzie spóźniał
Przyprowadzisz go do mnie.

Teraz przytul się do słowa...

Ciechanów 1 V 1991

Wielkanoc

Są jeszcze drogi
Jak do Emaus
I drzewa wśród krzyży
Zaliścione pod kwitnienie
Ptaki z porankiem
– wyskrzydlone
Nad domami
Roześmianych dzieci.

I Wielka chęć pójścia
Do ludzi i rzeczy
Nocą odnowiona
Jak wybudzony gołąb
Z opuszczonych zabudowań.

Są jeszcze drogi…

Żywot Józefa

Pradziad Józef wrócił zza wody.
Przywiózł cichą brodę
I śliską kamizelkę.

Zbudował kuźnię.
Palił w niej życie, nawet nocą.
Stroił gołębie malowanym chłopcom
I śledził wiosenne czesania.

A gdy mu spalili ostatnią wiadomość,
Posypał kasztanami wokoło.

Nie ma kuźni Józefowej
Tylko białe kasztany
w drodze.

Niedziela dni naszych

Tęsknota za rozłożonymi ramionami,
Tak dla umiłowania czasu
W którym jesteśmy.
Dla zatrzymania choć przez chwilę
Pociągów towarowych z codziennością.

Ta tęsknota jest jak niedziela dni naszych
W białych koszulach
Z chciwym słońcem
Z zawieszoną myślą pomiędzy krzewem bzu i jaśminu.
Jak niedziele naszych domów
Zapatrzone w bliskich,
Jakbyśmy widzieli się po raz pierwszy,
Na innej planecie.

Jesteśmy razem.
I tylko wymyślona przez kogoś śmieszność
Nie pozwala nam się wziąć za ręce i śpiewać
Własnymi słowami; choćby o bukieciku konwalii.

Niedziele dni naszych
Prowadzone do kościółka
Na skraju dobrej nadziei,
Po dniach siedmiu

Wszechobecny ciężar doboru słów…
A przecież sięgasz tęsknotą
A przecież nie musisz nazywać
A przecież nie musisz dotknąć
Bo jest ten stan

Niedzieli dni naszych.

Maj 2012

Nie

Zanim powie się – nie
Jedynie swoje.
Pierwsze lub ostatnie,
Rogate, bolesne.
Ważone i rzucone
Głośne i ciche
Mocne i liche
Duże i małe
Harde i nieśmiałe
Bogate i biedne
O przepicie i o życie
Z trybuny i skrycie
– jest się gnojem pod róże?!

Kosmici

Chorym

W każdej rodzinie są Kosmici
Przypisani na obraz i podobieństwo nasze.
Zagadują, zaglądają w oczy, wąchają bzy i róże.
Dobrze znają krzyż,
Oglądają szczęśliwych, zgrabnych i bogatych
Z gatunku ludzkiego.
Rozpinają swoje ramiona i wchodzą
W złotostrunne dialogi.
Wyrzekli się własnej planety.
Kochają ludzi i ziemię.
Nie chcą przywileju, bólu, żalu i samotności.
Mogą zakładać buty, czytać książki,
Sadzić drzewa i rodzić dzieci
Iść do naszego Boga o własnych siłach
Prostą, widzianą drogą
Nie kółkami i w łóżkach.
Tyle pracy, Słońca, życia tyle
A Oni czekają na cokolwiek…
Są bez ciał i trumny Im nie potrzebne.

Na skraju miast

Poeci zawsze mieszkają na skraju miast
Jak figury tuż za wsią.
Śpiewają pierwsze majowe
I znoszą na targowisko wiosenny wiatr.
Posyłają do miasta malowane dziewczyny.
Łażą za księżycem jak cielęta.
Pokazują dzieciom na przystankach motyle
Prowadzą zakochanym wiersze na spacery.
Zapalają światła drzew.
Czasem Pana Boga przeprowadzą przez skrzyżowanie
I wieczorne dzwony ciągną za warkocze w pola.
Po każdej reklamacji
Piją szklaneczkę w barze na rogu
        i zaczynają zawsze tak samo;
        od zapatrzenia się do wnętrza ruchu.

Przed księżyca drogą

Trosko!
Co gniazda swe uwiłaś
Wśród gałęzi kręgosłupa
Daj się utulić
W słońca rzepaku
I posłuchaj;
jak pszczoła tnie horyzont
w słupy opamiętania.
Nie ugniataj mgieł
Przed drogą księżyca.

Nosisz w koszu owocobrania
Przydrożne kamienie
Do witraży nieba pól i dłoni.

Stawiają z nich ołtarze
A ty stroisz…
Idziemy powoli
Przed księżyca drogą.

Pisane nocą

Kiedy ptak przebija
Balon nocy
I gdy inny ptak
Postukuje odzew.
Mój ptak
Jaskrawo złoty
Trzepie się w kieliszku wina.

W pomoczonych strofach
Porastają pszenice, owsy,
Sosny i trawy.
A mój złoto-jaskrawy
Spija resztki rosy.

Pod mgły kapeluszem
Odzywają się szlacheckie koguty
A po włosach spływa
Roztrzaskany dzban
Letniego brzasku.

W kieszeniach

Szukam dnia w kieszeniach płaszcza.
Pierwsze odzywają się klucze niebieskie,
Zmięta chustka z przytartym zapachem.
Szeroko rozstawione palce
Szarpią tęczę podszewki.
Tyle zapachu piwa…
Szukam dnia
Krzewy zarosły horyzont
Rzeźbionej deszczem bezradności,
Zawieszonej jak ostrosłup zimnego powietrza
Nad kwitnieniem.
Potrącają się kolana
Znajomy pies łbem zakręca światło.
I tak cicho, pusto i piwnie
Gdy wyciągam ręce.

Szukaj mnie

Opowiedział mi Sybirak
Jak spod litery Niemna
Wyciągnięto go w lasy.

Słońce pociągu było
Pasiaste, szparowate, drewniane
W kawałkach gorące od uderzeń strachu.

Wielkimi, nad wyobrażenie wielkimi oczami
Szukał choćby muchy ojczyźnianej
Kropli innej niż słona.

Nie straszył w sobie pamięci
Tej Olitańskiej Gwiazdy.
Stamtąd przecież wszyscy rozjechali się
Po niebie ziemiankowym, jakby w chowanego grali.
– pałka zapałka, pałka…
i jeszcze jedna – chowają.

O Ziemi

Dobrze mi z Tobą
Gdy układam głowę
W pachwinach miedzy zielonej.

Oddech Twój podnosi kwiecie ślubnych drzew
Sypiących pod kolana świątków
Biały deszcz ciszy.

Codziennie spoglądam w Twoje oczy
I szukam śladów do odpoczywania
Nie myślę, że mogę Cię stracić.

Nie jesteś pomyłką

Nie pożywam twego potu
Nie przynoszę z pracy gwiazd na butach
Nie jestem wrzecionem twoich myśli
Owiniętą doktryną na drugie.

Jestem krwistą wariacją
Pod koszulą pękniętego marmuru
Czekam kiedy zaciśniesz pięść na mojej koronie

Twoje żony mają grube palce i oczy w mokradłach
Dzieci dalekie jak głos wilków
Lecz nie jesteś pomyłką.

Przetrwałem

Przetrwałem to wczorajsze marzenie
Rano gniotło ciszą.
Z Ciebie oderwały się pierwsze słowa
I potoczyły po jasnozielonej koszuli.
To jakby nadzieja kreśliła miejsca.
Patrzenie skryło się w lęku
Gdy zacichły tupot bajek
Założył mi trójkątny motek
Opisany na ciepłym talerzu.
Objadłem się tragedią, dekalogiem, wierszem
I jestem, przetrwałem!
Element programu, czy gwóźdź budowli
Wszystko mi jedno – przetrwałem…
Teraz zaczerpnąć z siebie
Jak ze studni o słonej wodzie
Mogę, bez jednego zatarcia o lustro widziane
Bez skrzypnięcia w echo.
Przetrwałem coś z prochu
Jakąś lub czyjąś rzeczywistość.

Lustro namalowane

Dzwon położył ją na strychu
Białą, w porcjach jak lustro namalowane.
Rozbijała okna, kurz, zapach mięty.

Zacisnęła w sobie komin
I biały dym
Podniósł jaskółcze oczy
Gdy bolały
Zaciągała koszule deszczu.

Zniosłem ją po skrzypiących słowach
Do książki dzwonów.

Głos I

Trzymajmy się za wiersze
Oblepione w miody spadziowe,
Klejąc pokruszone nadzieje.

Myśli gołębie odfrunęły,
Sterty uczuć na przerób.
Cicha dzwonnica
I noc zakonnica
– półuśmiechem.

Trzymajmy się za każde słowo
– Dojrzały owoc,
Nie tracąc kropki
W przemijaniu.
Pokraśniałe słońca
Zapełniają spotkania.

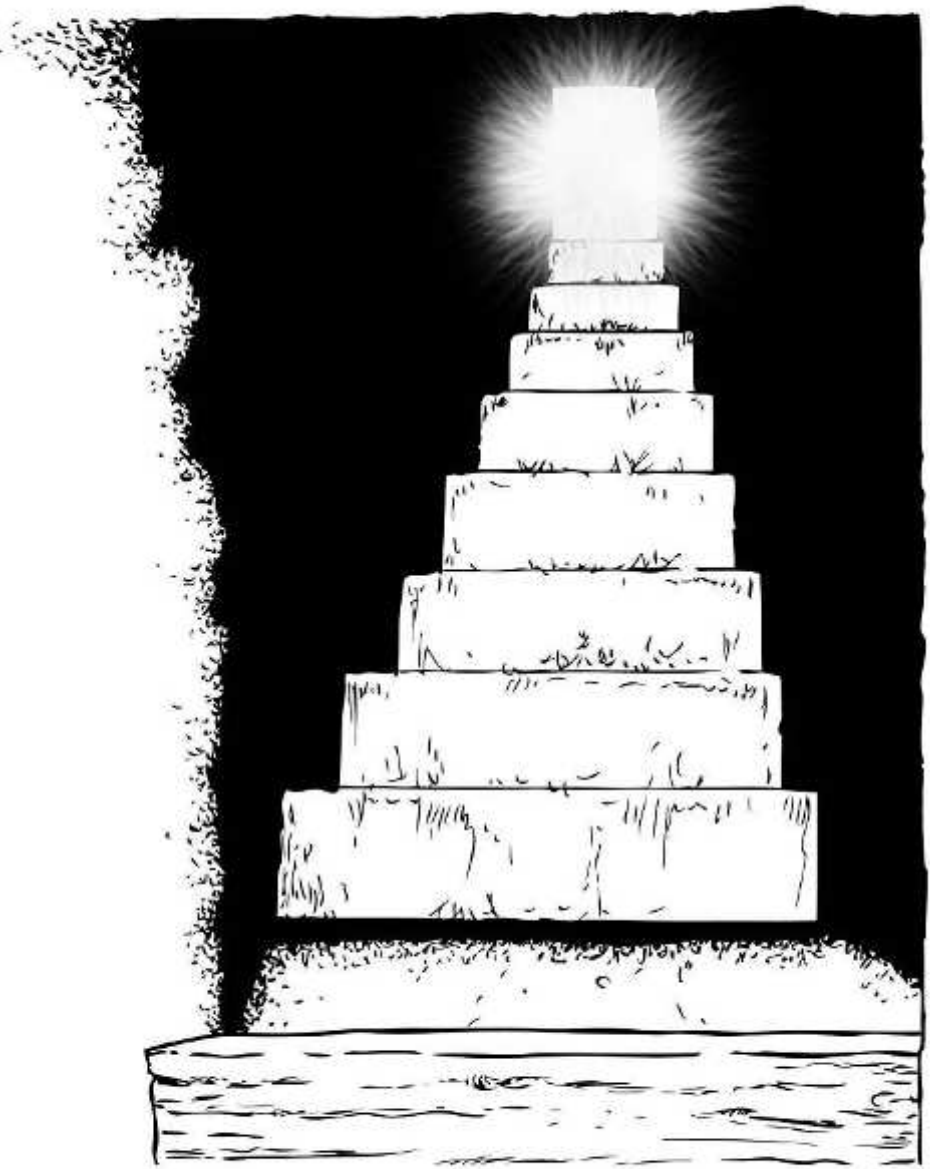

Poranne studium

Gładzę policzek
Snem zwolniony
Z wykrzyknikiem róży
Pomiędzy lustrami.
Srebrne muchy
Siadają na szept
W kominie.
Wykręciłem głowice wczorajszych oczu
A czas taki zielony, że trudno uwierzyć
W jesienne fortepiany…
Gładzę policzek
Pod twoją pięść
Z której pestki zgryzionej przyjaźni
Na wiele, wiele dni się posypały.
Nie przepraszaj…
Spuchnie szept w kominie.
Gdy gładzę policzek
Srebrne muchy i lustra
Pozostają.

Ludzie po mnie

Rozpiją twoje poglądy
Jak gwiazdy zmierzch nieśmiały.
Nauczą dzieci nie kochać
Kierując pod wiatr ich pocałunki.
Oddadzą buty do zdarcia
I głos z taśmy.

– ale dziś tak potrzebni
jak niepokój o światło
i zdrój nadziei,
piękni nieśmiertelni
po mnie – wypisanym.

Nakarmić psa potrafią
Dzwony rysować na plaży,
Gdzie kropla wody jak serce się miota.
Trzymać glob w uścisku,
By w kształt kuli nie wrócił.
Ci, których nie mogłem porzucić.

Godzina spokoju

Szare już gwiazdy jak krople szczerości
Tylko w porannym polu żywe, błyszczące.
Zmięte gadania z pióropusza słów wycięte.
Wiersze przyjaciół i moich kilka
W szafce po prawej od strony nieba
Zamkniętym w oknie.
Tam, z mrowiska swego
Harcowne lipidy nakładają fałdy ciszy
Posypując srebrnym żalem.
Bratają się księgi, całe lata
W formy bezimienne, sprzeczne, wyciszane
By nie można było stuknąć w bramę,
Odejść tak po prostu – stojąc!
Szafka jest z rodzinnej sosny
Złożona w cztery jak dłonie.
Przepatrzona słój po słoju,
Niedomknięta jak godzina spokoju.

Ościsłowski las

Za domem, za polem, za mgłą poranną
Jest las mazowszański z kroniką otwartą,
W której dzięcioł odstukuje sercu
Pieśń sosnową – w słońcu konwaliową.
Odstukuje wszystkim stronom.

Dostojny las hrabiowski, mądry i ciepły
Już wybrązowiały i zatęskniony dzieci,
Pełen jagód, morw i grzybów,
Ponad zdrojem Stawnicy,
Z warkoczykami zaskrońców.

Las z rozległym cieniem cmentarza,
Który drzewom i Tobie powtarza
Ostatnie skrzyżowań drżenie.
Za domem, za polem, za mgłą poranną
Jest las rodzinny z wiersza lampą.

Ciechanów 25 I 1999

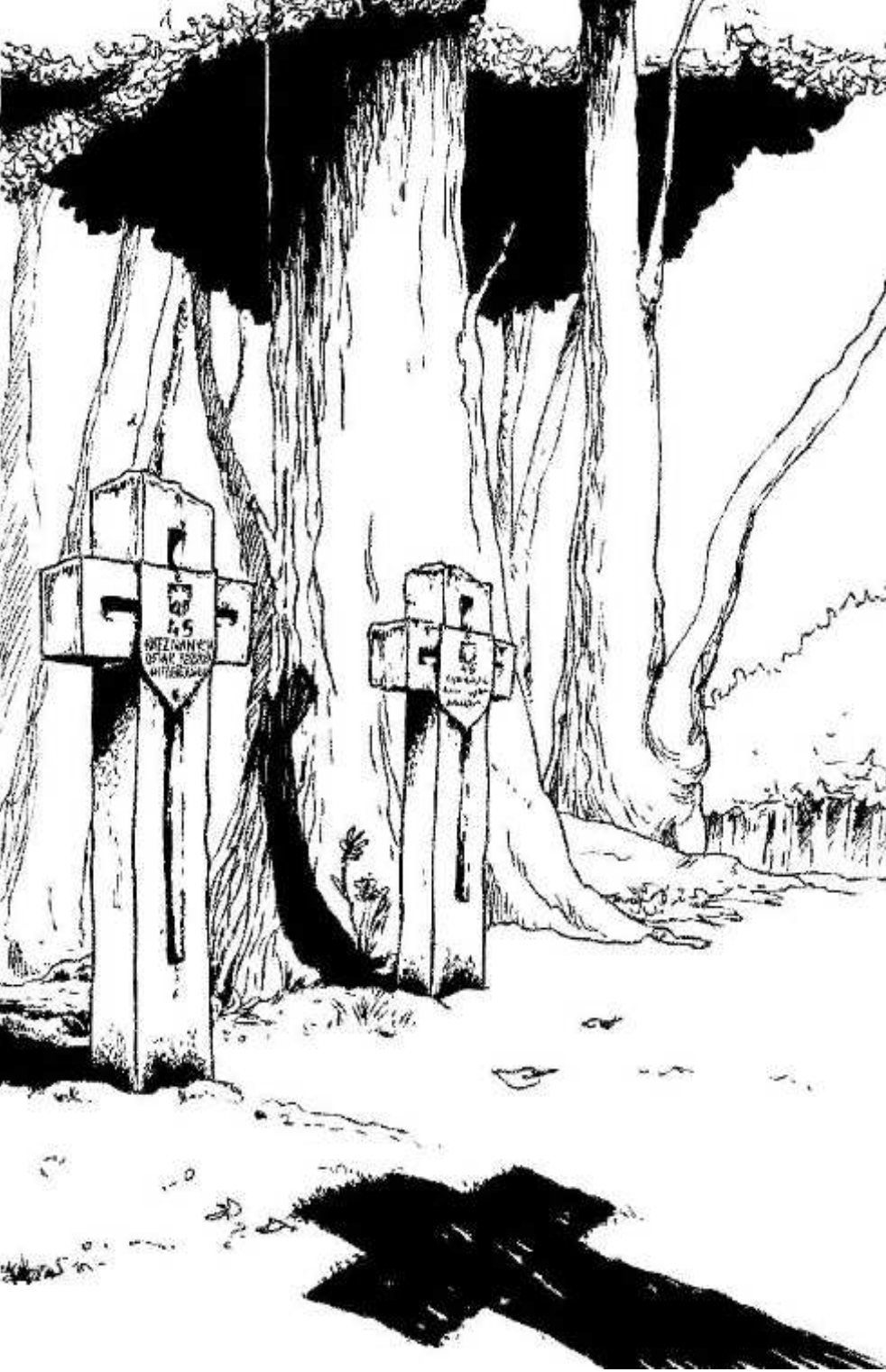

Dom wierszem stawiany

Wierszem zbuduję dom.
Biały od fundamentu
Pod dach księżyca.
Okna przez stronice dziejów
W kształt wykute
Nie przestaną istnieć, patrzeć.
Drzwi otworem rozwitanych rąk
Będą czekać na przyjście nadziei.
Wiersz mi zagra za szczytem żalu
Albo przetoczy się po wierzbach.
Wiersz oczyści dachu połacie
Idąc po drodze sumienia.
I kobietę stworzy.
Pójdą zapachy w kąt za świerszczem.
A gdy już będę odchodził
I zamknę mój dom,
To skrzypnie mi wiersz z cicha,
Zostanie nad powalonym charakterem
W czterech ścianach.

... innym

Piętno Norwida

Niech nie pamiętają
– bo tak jest –
Dat, tytułów, bohaterów, zdrajców
I skąd taka godność czasami, i miłość wielka
Z którą spać się nie da.

Niech tam leją się po mordach
Na ulicy odpustowej
Bo tak zawsze było.

Niech zapiszą pokrętnymi rymami
Antologie wierszokletne
Niech…

Przesiadają się w narodowej wszawicy
Od prawicy do lewicy
Niech…

Rozdzielą między siebie Jezusa i Łotra
Bo tak być musi
A z zagrodowej Europy popędzą
Rosjanina, Niemca, Żyda
Niech…

I tylko jedno powinni mieć w sobie na zawsze
Jak skarb imienny po chrzcie
– piętno Norwida.

* * *

Pani Janinie Fetlińskiej
Senator RP i Wszystkim,
którzy nie wrócili z Katynia…

Nad Katyńskim Krzyżem w Ciechanowie,
Który dziś ma Twoją Twarz,
Przelatują kluczem ptaki na Wschód.

Wracajcie, wracajcie
– choćby i czas zimy miał nadejść.

Nad Katyniem
Klucze Polaków.

Wracajcie…

Ciechanów 10 IV 2010

Patrz

Patrz, powietrze słoikowe
W letnim płaszczu mgieł
Zakurzonych rękawiczkach

Ulica plamiona
Jeszcze pusta

Kilka chałup
W rdzawym zielsku
A za ścianą
Nie ma horyzontu
Cisza spaceruje
Z bezrobotnym.

KATYN

Miastu

Wyjdź do miasta
Jak na spotkanie dziewczyny
Gdy widzisz jej kształty
Z oddali – kochane.
Pospieszasz kroku i serca
– na zmianę –
I chciałbyś wejść we włosy,
Iść ulicami myśli,
By słowa blaskiem latarni
W drogi wierszowe stawały
Po których poeta – brukarz – prowadzi.
Ale nie mówisz o tym
– zakochany.

Uścisk dłoni

młodym niepełnosprawnym

Jedliśmy upalne słońce
Skręcane łyżkami
Deski stołu jak struny gitary
Prężyły stelaż skóry.
I śmiech był,
I czas,
I chleb.
Dziękujemy za te dary!
Pojechaliśmy po trawie
Wózkami przytulonymi
– śpiewać
aż do zrzucenia materii,
zatarcia krzyku,
uścisku dłoni.

W ogrodzie pomocy

Krubiński ogród
Jak stół koronką nakryty.
Świąteczny, cichy.

W kobiercach szałwi
I lamp świerków białych
Od wschodu z żaluzją wiązową.

Podzielony na kwartały
Białych ptaków ze szpitalnych łóżek
– kolorowymi tętnicami ścieżek.

Spacery jesienne
Wśród spękanych róż nasercowych
– może już ostatnie.

Kruszy się dzień
O wycieraczkę pod kaplicą
I dłoniom do siebie tak daleko…

Droga do sierocińca

Małe, a może lepkie stopy
Uderzają w Ziemię.
Na cały Glob spadają
Latawce mleczu zbudzone.

Dziecięcy sznurek,
Różańcowy spacer,
Już za płotem
Wysokim pod gardło
I zamknięte oczy.

Tak się modlę
O rozsypkę
Korali wszystkich
Jarzębin
Za płotami sierocińców.

O loty zbudzonych
Modlę się…

Pogawędka z Sarkandrem

Janku, Janie, podobno święty
Ciepłe żarówki zapięły
Noc w dolinie.

A my siedzimy chciwie
Nad brackim piwem,
Z różą i ołówkiem
Zamienionym w kościół.

Później schodami
W progu domu
– mówią, że ołtarza –
Przed godziną Cię nie znałem
A teraz każde słowo się wydarza
Jak róża i ołówek.

Skoczów 2 VIII 1995

Wśród wierszy

W dniu śmierci
Zbigniewa Herberta

Położyć się wśród wierszy
I spacerów bocianich.
W szeptach posładzanych,
Skąd ust motyle
Zniżyły błękit
W dłonie.

Tu w tej chłodu stronie
Można wzruszyć zachody
I trwać na krawędzi dnia,
Choć jeszcze cienie długie
Od zmęczeń.

Tu widać szczyty słów
I ust drżących chwile.
Tyle, a może…
Nie, tylko tyle!

28 VII 1998

Ballada o Staszku Przychodnym

Na odsłonięcie tablicy
w Szkole Podstawowej w Ościsłowie

Niepamiętany może już czas
Kiedy ościsłowskie sosny
Weszły do wioski.
Wyprostowane, zielone orły
Ze słońcem w koronach.
I tak szły jak Wernyhora.

Właśnie wtedy nad ranem
Mgły odsłoniły zapach zdroju,
A na szczytowej, bielonej ścianie chałupy
Narodziła się wolność.
Przeniesiona w asyście kos wyprostowanych
Pod płaszcz Częstochowskiej, przy lampie
Naftowej.

Tak ją poznali:
Przychodni, Czajkowscy,
Grudzińscy i Olczakowie
… ale Staszek ukochał ją najbardziej!

Kiedy wraz z rodzinnym bocianem
Próbował pierwszego lotu,
Zobaczył jak w książkach: początek i koniec.
Całość odmierzoną wokoło
Polnymi kamieniami.

Widział też jak ojciec
Rzeźbił lipowym konarem
Jego postać w ziemi obiecanej
– z uporem.

A gdy długim, długim wieczorem
Oprawcy zaczęli sosny ścinać
I wiosny wieszać gęsto,
Ci płowi chłopcy zaciskali pięści
Na gardłach mordercom.

Nikt im nie mówił, że lepiej
Młodość mogli wyśpiewać,
O nieba błękit buty wycierać
I wolno szukać dni dojrzałych.
Wzniesione do lotu serca
Czekać nie chciały.

Staszek nie zdążył otulić się sobą.
Rozdeptane ręce zapomnieć musiał.
Wsparty o myśl nad naftową
–… skonał.

Dzisiaj ościsłowskie sosny
Wchodzą znowu w nas,
A mgła odsłania zdrój pamięci
Jak poranku świecę
Z pierwszym brzaskiem
Na szkoły tablicę

Ościsłowo 24 IX 1994

Marie bezdomnych

Zielony teren dworca
Zielony księżyc w rudym witrażu
Graffiti odwróconych
I karton jak całun.

Wchodzi I Maria
Chleb powtarza.

Sine wschodem wierzby
Oliwnego – przecież – gaju,
Podniosły ramiona
Do przyjęcia strzału.

Przyszła Maria II
Wody struga.

Posypało srebrnym kurzem
W światło zabłąkanych
I jakby coraz mniej
Zdziwionego dołu piersi.

Maria III nie spieszy
Kogut zbyt wczesny.

Spóźniony wiersz z Białowieży

Wiersze też się spóźniają
Jak kaktusowe kochanki
O których pamięć
Rozpisana w deszczach.

Ten spóźniony białowieszczański,
Prosty jak łodyga ulicy,
Z liśćmi domków,
Które nie muszą
Szukać nieba
Za królewskimi dębami.
Spóźniony, choć wiatr
Budził trawy wrażliwe,
Trzaskał biczem w ognisko,
Zrywał pierwsze miłości
I było, było…

A wśród korzeni ołtarza
Noc tak samo powtarza
Spóźniony dzień
O jedną cerkiewną pieśń.

TRYPTYK
Miłości Pisania Prawdy

I Miłość

To tylko niecierpliwość
I nasze jesienne klęczenie,
Z depresyjnym horyzontem,
Podniesionym mówieniem.

Odważną ręką
Zrywam korale z Ciebie
Jak z mokrej gałęzi
W upadłym drzewie.

Posypały się liście i krople
Na nasze ogrody bezśmiałe.
Wysokim trawom czerwienią
Kolana drżące, poszarzałe.

Ty pleciesz warkocz
Z rudych stwardnień lata,
Odwrócona, spokojna o kwitnienia,
Bo tylko niecierpliwość Nas odmienia
dalej i dalej…

II Pisanie

Coraz mniejsze kartki
Zakładam
Za każdą godzinę
Zamiaru pisania.
Z tą samą nadzieją
Zadziwienia, rewolucji,
Boga i zasypiania.

W czarnych perłach skreśleń
Tak podobne zakładam
Godziny, zbiory, kartoteki.

Zakładam
W poczekalni zamiarów
Gdzie nie głoszą
Odjazdów

Zakładam
Coraz mniejsze kartki
Za każdą godzinę
Wpisanego słowa.

III Prawda

Szukających z każdym wierszem
– wielu.
Choć zdarzenia
Tak bolesne i niezrozumiałe
Jakby nigdy nie było krzyża

Jarzębin
Ach jarzębin korale,
Z jesiennego tańca
Tylko orzechowe dłonie
W drodze różańca.

I jeszcze jeden
Wiersz skorupkowy
Nie do czytania
Ofiarowania, sprzedania?

To fragment
Źle obciążony.
I cóż z koronek rosy
Pęczniejących z żalem
Kiedy w wierszach
Wciąż łamane…

Osobisty dopis do 1863 r.

Wokół dworu, lasu, od wschodniej strony,
Cmentarz Sulerzyski, jak ołtarzyk Ojczyzny
Nocą zapalony.

W dzień surowy, podrdzewiały, bez blasku słów,
W ukrzyżowaniu szabli i kosy, gdzie mech
Nakryciem głów.

Latem zieleńszy, z gałązką bzu i akacji śniegiem,
Zimą bielszy z lampki cieniem;
Podniesiony.

Tu, w mazowieckim polu, ołtarzyk ojcowizny,
Wyrosły z grobów, jakże bliski- bliska
Tej Najświętszej...

Rozpalonej pod Rydzewem, gdzie grudki ziemi
Na plecach i w sercu, ciągle gorące przestrogą,
W Tym miejscu.

W zagrodzie lasu od wschodniej strony,
Ołtarzyk Ojczyzny;
Poniesiony.

Maj, 2013

Bez kategorii

Gdyby nie jaśmin co sen mi skradł,
Oplecione płoty krzewami róż.
Strzaskałbym sumienia opróżniony dzban
Do dna zagłuchły już.

Ty mi się nie dziw w drodze
Różowy jak sen pijaka księżycu.
Zasiadłeś wysoko
I nie staniesz ze świecą.

Omijasz jak Ziemię Czarnobyla.
Tam śmierć za prawdę
Kwiaty zrywa,
Ptakom śpiewa.

Tak wiele czasu bez kategorii
Niby słońca w jabłku zapóźnionym
Ty i ja ślepe ziarna maku
PRAWDOPODOBNE.

Wolne miejsca

Zobaczcie ile wolnych krzeseł wokoło
Jak wyoranych świeżo ptaków
Przygotowanych na trzask zastawek serca
Na zapominanie i liczenie dni,
Pleców, nóg, siedzeń.
Adresów tyle
Z Błotnej, Słonecznej, Powstańców.
Twarzy zaczętych
Drzwi otwartych
Pustych talerzy
Śpiących much

Jak gdyby wszystkie noce wigilijne
Pod jedną gwiazdę wróciły.

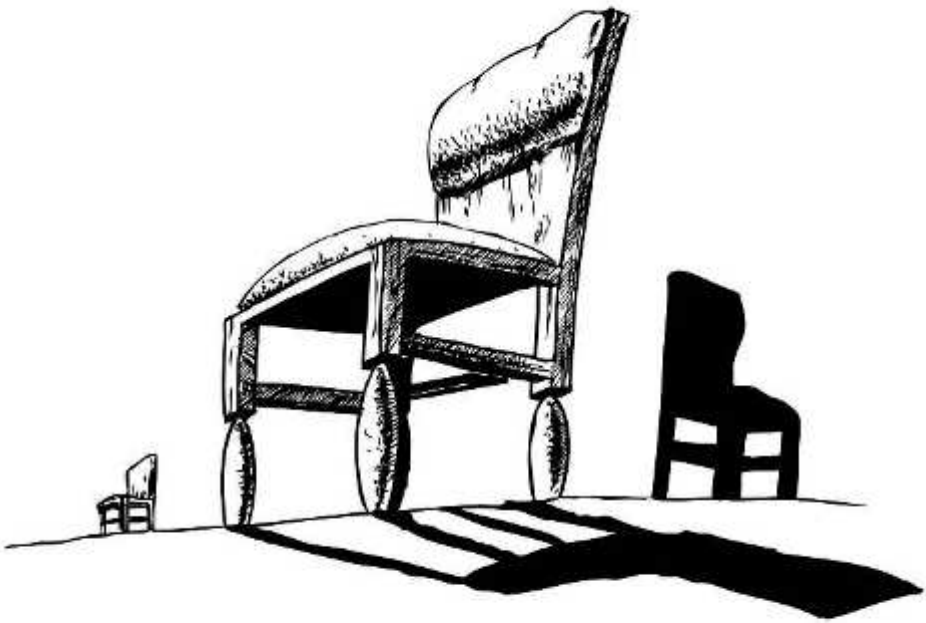

Wiersz znoszony

Janowi Pawłowi II

Ty wiesz Panie jak ten wiersz
Mocno znoszony,
Ciągle szukający chleba
Na wodzie źródlanej.
Moja cogodzinna zakładka
W trawiastych książkach,
Pospieszna cząstka różańca
I zarumienione lusterko
Posiwiałego chłopca.
To codzienny gołąb
Do Wadowic, Krakowa i Rzymu.
Wolny nielot
Bez pieśni i hymnów.
Jedynie znoszony.
I Ty wiesz Panie
Jak go wymodlić i wysłać,
Żeby zdążyć…

Krótka ballada o szczęściu

Pani Janinie Boniakowskiej
w 80-te urodziny

Czy spotkałeś dziewczynę przed 1939 r.
Ciężarną od marzeń.
Wcześniej nosiła wiersze
Pod jasną strzechą kapelusza
I stawała z zającem
Świerszczy słuchać.

Wojna była pierwsza
Wśród chłopców.
Odeszli z domów, zostawiając
Maryjne śpiewy.
Dziewczyna zdążyła
Jednego sobie wziąć.

On dał Jej dwa kłosy
Na szczęście.
Ona karmiące wiersze…

Nie wierzyła, że piękno
Razem Ich poniesie.
Teraz już sama
Nocami wiersze pisze
A rok prawie 2000.

Stagnacja

Nie byłem w sobie dawno
Nie próbowałem przepajęczyć
Choćby dwóch myśli
W jakąś łodygę senną.

Za strukturami lodowców
I szumem lodołamaczy
Coraz szybszych
Nie zdążyłem ogrzać własnej dobroci.

Poranki jeszcze zawiośnione
Ale krótkie, z domu do garażu
Spojrzenia niedotrzymane
Słowa szarpnięte

I jestem…
Jestem?

Przez pamięć

Śp. Edwardowi Kupiszewskiemu

Dziś pod starym mostem
Podaję Ci rękę,
A Narew przepływa
Pomiędzy palcami
Podnosi poziom i zmoczyliśmy
Koniuszki serc naszych,
Tak samo jak wtedy w Ciechanowie
W hotelowym pokoju,

Gdzie gotowane jajko
Do Twojej kanapki
Doczekało świtu – jednak kurpiowskiego.
Dziś podaję Ci rękę
Przez pierwszą i ostatnią literę
Tego wiersza.

Ostrołęka 19 X 2006

Maria Skłodowska-Curie
/czyli o miłości która schodziła w ciszy/

Jej miłość schodziła w ciszy
Zarówno po słodko-gorzkich polach Szczuk
Jak i z katedry Sorbony

Miłość wsparta na łokciach
W zamkniętym pokoju
Paryskiego poddasza

I ta z ławeczki
Przed pomnikiem na Wawelskiej
Z pytaniem niebieskim – a gdybyśmy razem
Odczytali kod istnienia?

Miłość zawieszana od Warszawy do Paryża
Po zawrażliwionej nitce polskości
Jakże napinanej rozstaniami,
Po ojcowskich spacerach

Miłość rozpędzana rowerową orbitą Piotra
Gdzieś do Bretońskiej dolinki otwartych ramion
– i wtedy jedynie było ją słychać
W pośpieszanej materii jakby się bała
Że nie utrzyma wzroku.
W ciszy kamieniała…

Prowincja

Panu Januszowi Królikowi

Najdłuższa jest droga do studni
Schodami na strych też daleko.
Przyjść do Siebie i pozostać
Z mapą świata jak z gazetą.

Wysłuchać koncertu
Na białym fortepianie
Gdzie wraz z Chopinem
Różowiejemy…

W inne zaś drogi –
Jak gwiazdy w kalendarze
Świecą niezmiennie na serc bazarze –
Nieskończone spacery wpamiętać
W nóg lichtarze.

Sny o Dusznikach

Ks. Marianowi Kosińskiemu

Pośniły mi się Duszniki
Wstążkami dróg na Muflonie,
Miseczką zamglonej doliny
Z Chopinowskim Domem.

Pośniły mi się Okaryny Kosińskich
Co Każdej Serdecznej grają
I Świątynią z pieśnią kruszonych
Łańcuchów przed bramą.

Pośniły mi się oczy ks. Robaka
Szukające zapałek po zaułkach
Mickiewicza, Słowackiego,
Gdzieś po Polsce i świecie,
By zapalić jedną, najważniejszą
Miłości świecę.
Pośniły mi się Duszniki…

Duszniki Zdrój 21 VII 2000

Obrazów dojrzewanie

E. J.

Jeszcze mi świeże gałązki wierzby
Psują włosy
Nad wodą.

Niebo aniołami spada
Wprost na letni
Zastój mleczów.

A serce
Wysokie i prawie w odlocie
Gdy kolejny dzień
Staje na własnym
Płótnie.

Wieczorem jest smutniej
Przemywać pędzle i oczy.
Wieczorem sny psują mi włosy…

Rzeźby w drodze

Na otwarcie
galerii rzeźby STEP

Te rzeźby ruszą w drogę z nami
Bez bagażu kłamstwa, obłudy,
Zaniechania.
Czyste przez chrzest dłuta,
Strumień myśli wysłonecznionej.

Bo każdy wiek, jak dziecko, wystawia rycerzy
Tylko broń wciąż zmienna, podstępna.
Kiedy te rzeźby z nami ruszą,
Cóż znaczą zbrojne tysiąclecia?

W konstrukcji tego krajobrazu
Wyzbierać diamenty któż potrafi?
Znaleźć w nich słońce, uśmiech?
Pierwszy ruch jeszcze zastygły.
A miłość?… miłość zawsze uciekająca, zwiewna
I cóż z tego żeś kamienna
– Kiedyś ruszysz z nami w drogę!
Ale wiem, wiem kto to potrafi,
Bo widziałem Twoje dłonie Janie
I chrzest przez dłuto,
Z kamienia – prawdy ożywianie
Rozrzuconej po Strzegowskich polach,
Skąd kiedyś ruszymy w drogę,
Chociaż jeszcze nikt nie woła…

Strzegowo 6 IX 1997

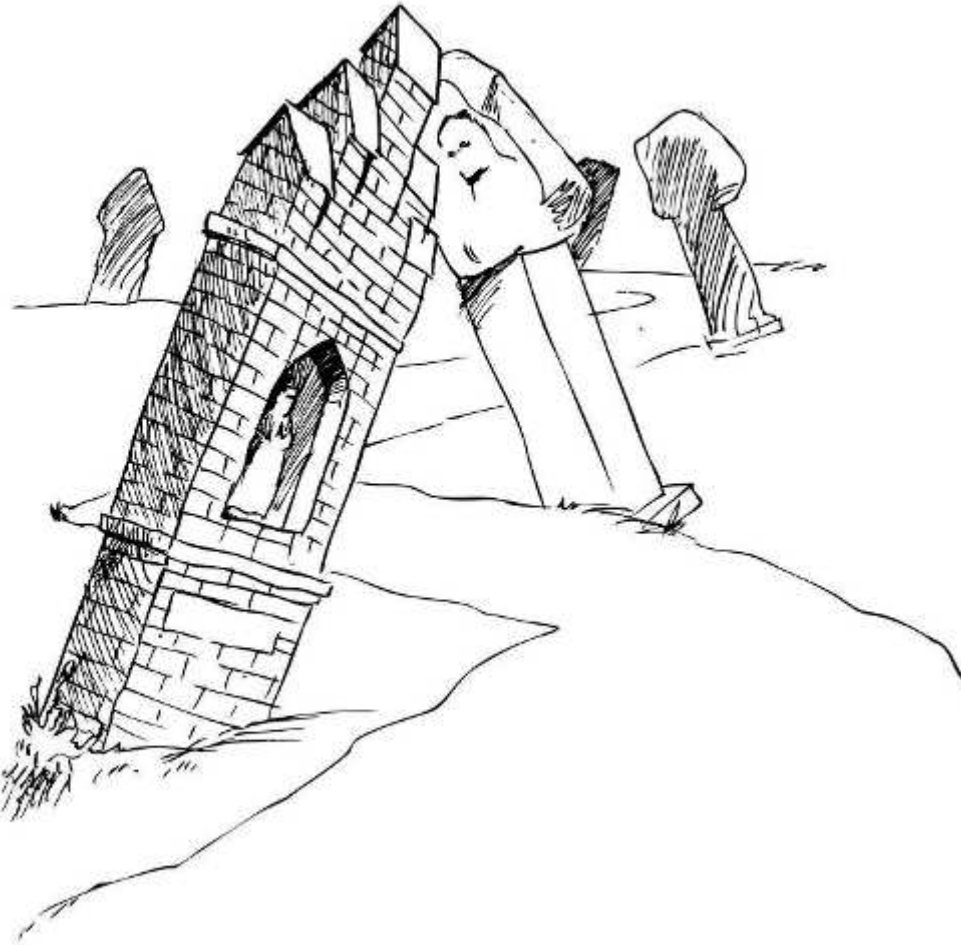

Gołotczyźniana refleksja

Sukmana powoju na drzewach
Wyrosłych z gołej Ojczyzny
Śmiała, rozchylona jak róże
Od Aleksandra – Aleksandrze.

To nic, że pod ten płaszcz rzeczy pospolitych
Włazi robak hipokryzji
– wczoraj i dziś.

To nic, że zaliściły się już groby
Klonowskich, Zienkiewiczów, Rajkowskich.
I wiatr wyrywa pustkę znicza.

Wśród tych drzew biegają dzieci
A bieg ich taneczny, bratni i łączony
Jak pszczeli krąg z cięciwą sokoła.
Ich bieg – Biegasowy.

Gołotczyzna 25 IV 2008

Do przyjaciół Belgów

Pamięci
ks. Macieja Kazimierza Sarbiewskiego

Kiedy jedziesz z poezją do przyjaciół
To nie możesz minąć miast i gwiazdozbiorów.
Do Antwerpii przez Lwów i Kraków
Z kroplą Wisły, Dunaju, Renu i Mozy.

Na brzegu Skaldy nie możesz nie być złoty…
Wita Cię Grocjusz, Bolland, Puteanus
- a może to Sokrates i Demostenes –
Ty… Horacy sarmacki, budowniczy Rzymu Północy,
W Wilnie, Warszawie, Pułtusku – w sercu Europy!

Dziś nad naszym domem
Świeci gwiazda Twych narodzin
Jak flamandzki gobelin
Solidarnie – zielony.

Siebie dzierżąc

[...] Kto samemu sobie
Nie władnie, próżno o posłuch nastawa,
Kto sobie władnie, może w każdej dobie
Całemu wokół światu pisać prawa.

Maciej Kazimierz Sarbiewski:
Do Filidiusza Marabotyna

Siebie dzierżąc pod rękę
Dalej iść mi trzeba.

Uciekają sarny – dziewczyny, a może…
Sylwany i driady opuszczają góry, lasy
– mercedesami…

Myśl zdradziła drogę,
Droga zaplata wzrok.
Jeszcze jeden, jeden krok do siebie!?

A gdy oddech miarowy, tożsamy,
Niechże piorun grzebieniem
Przed lustrem.

Muzyka Apollina

Wg słów poświęconych
Maciejowi Kazimierzowi Sarbiewskiemu
w 400. rocznicę urodzin

Wnętrze cytry czasem głuche, ciemne, ale wolne
Z miłością słuchające strun dziewięciu.
Wnętrze cytry – moje codzienne śpiewanie
U podłoża piramidy
Pod łąk zasłanie
Z każdego uśmiechu
Wyrośnięte…

I tak na wieńcu dłoni
Piramida zgodności
Niezgodnej.
Patrzyłaś – mała – Europo
W każdą jej dziesiątkę.

A gdy pękła struna cytry
I anioł wypadł z obrazu
Chwycił chrześcijański poeta
Pytania wiatru.
Nie patrzył
W oko piramidy, gdzie może bogów wielu…
Śpiewa do wnętrza – zaklęty
I nie może skończyć porządku.

Ciechanów 1995

List z drogi I

Pierwszy list z Sarbiewa
4 V 2004

Drogi ks. Kazimierzu.
U nas żółte pole tuż za rzeką.
Jak pamiętasz po zachodzie słońca
Zanosi obłoki zapachu na rzęsy kościółka.
Pierwsze majowe grają pszczoły,
A nasza nowa dzwonnica
Przenosi te słabsze nad jakże matczyną koroną
Dębu posadzonego w dniu Twoich narodzin.

Rękoma po niebie, wzdłuż horyzontu
Kreślimy Twój dom, Teresa wylicza pokoje,
Choć teraz tu tylko łąki soczyste
Na rzecznej wodzie.

Tam gdzie kiedyś brama wjazdowa w lipowej alei
Dziś stoi szkoła, Tobie jasna i gwarna.
Uczą języków, nauk ścisłych wiele.
I tylko dla twej ukochanej łaciny czasu nie stało.

A pamiętasz jak konie od Smardzewa
Zapędzano w chłody stajni?
Dziś też galopowały w elipsie chmury,
Obrzucając nas grudkami ziemi.
Jedną zacisnąłem w dłoni i wiozę Ci,
Wiozę do Wilna…

List z drogi II

Drugi list z Wilna
11 V 2004

Drogi ks. Kazimierzu,
Tak mi przykro. Minęliśmy się prawie o cztery wieki.
Ach ta precyzja w Rzeczypospolitej?!
Jesteś w drodze do Rzymu i być może list ten otrzymasz
Właśnie w Naszym Sarbiewie.
Wilno powitało nas deszczem i tylko Dwa Słońca
Z twarzy Józka i Wojtka zabierają chłód miasta.
Mieszkamy, gdzie zarzeczna wstążka Wilejki
A wokoło ostropolska cegła poszarzała.

Wczoraj byliśmy w Uniwersytecie.
Mówili o Tobie po dwóch stronach bramy,
W kilku językach
Niemcy, Finowie, Litwini i My

To jakiś znak, jakaś pieczęć czasu ożywiona.
W bibliotece też listy Adama, Juliusza
I pospieszne modlitwy ze schodów Ostrej Bramy,
Później Szekspirowski przelot do Niemierza.

I w tym wszystkim ja – człowiek negatywny
Gubię grudkę ziemi z Twojego Sarbiewa,
A tak chciałem ją przenieść
Razem z Tobą
Nad wieżami zapomnienia

Do doktora teologii

Ja wiem, że czas wyciąga nitki
Nie tylko z kontusza, sutanny,
Także pamięć draśnie.
I latarnia niewiedzy
Tej czy innej sceny
W morze publiczności
Zaświeca wyraźnie.
Dziś ta bylejakość wymaga
Chóru Sarbiewiuszy.
Chóru panien na palcach
I chóru chłopców
Puszczających gołębie z listami.
Bo i Ty teologu nie możesz być
Nierozumnie obolały.
Przecież piłeś wino z Sokratesem, słuchałeś Platona,
Prosili Cię w papieskie orszaki,
A ty dziś mówisz, że Sarbiewski
To Kowalski jakiś.
Staje przed Tobą Chór Sarbiewiuszy,
Jak ze snu przesłanie, żebyś wrócił
Do światła minimum,
Piramidy zgodności niezgodnej,
Żebyś wrócił do Sabinum.

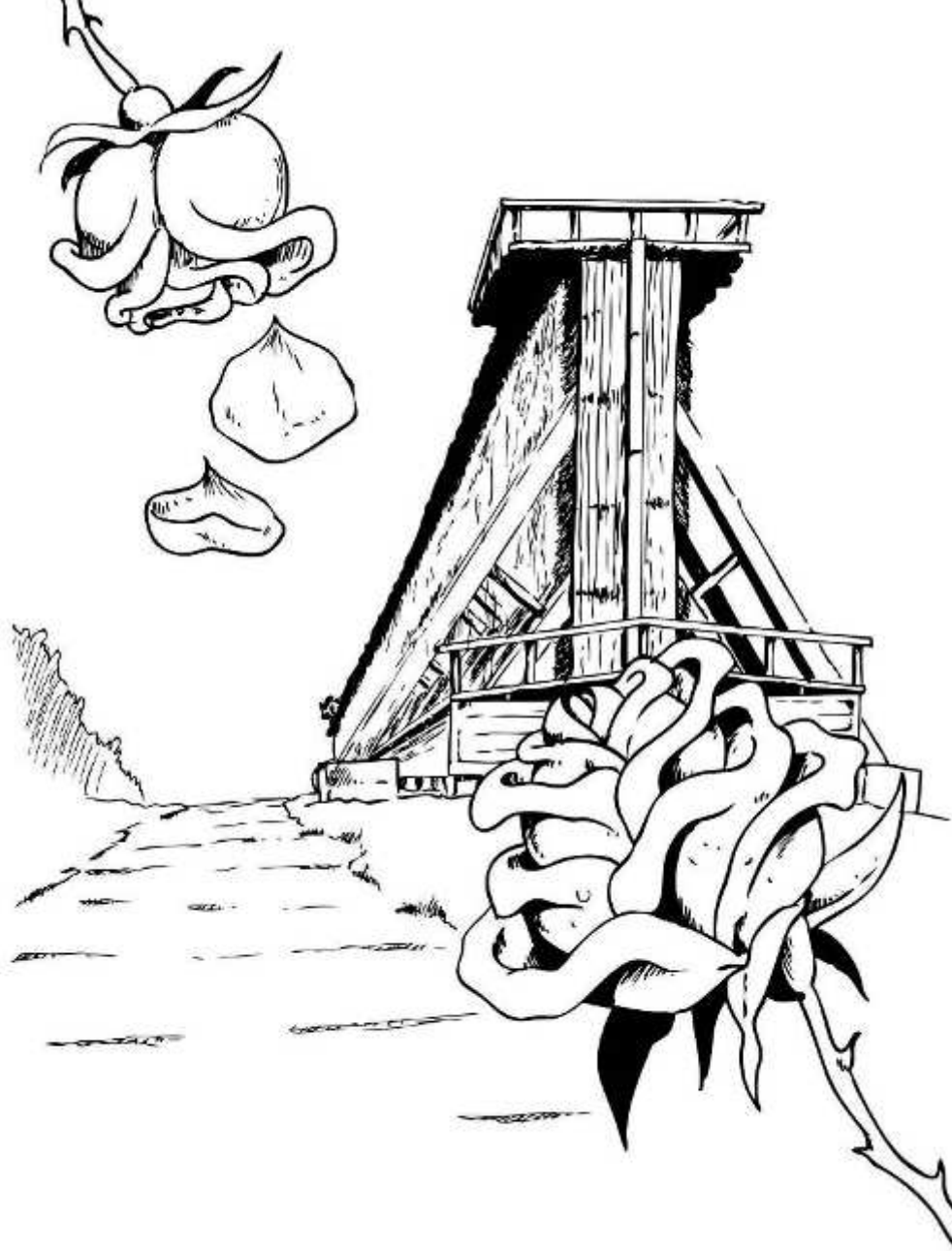

Zapóźnieni kochankowie

Na drożynie koło tężni
Ktoś rozsypał płatki róż.
Pewnie to Romeo z Julią
W zapomnieniu przeszli.

Po ich twarzach płyną łzy
Jak ten solankowy deszcz,
A każde słowo zrywa wiatr
I układa w wiersz.

Na drożynie koło tężni
Ktoś rozsypał płatki róż.
On i Ona tutaj przeszli
Zapóźnieni już.

Ciechocinek 8 III 2014

... w drodze

Kształty wyśnione

Widziałem Opinogórę z Chmury Zygmunta
Za ciechanowską strażnicą.
Jest kobietą jasnowłosą, bladolicą
Ułożoną pośród trawiastych cieni.
Jej wzgórki pod słońca dotykiem – miodowe,
Prawie w brąz kasztanów zmienione
Biel Jej warkocza zapięta w lustrze wieżycy
Rozbija granat nieba w drobne pieszczoty.
Binda różowo-ceglana na pachnących skrzydłach
Przenosi kołyszące milczenia nad stawy kwitnące
Tak, że ledwo przedramię prawe w stronę Kątów
I lewe – Zygmuntowa zobaczyć można.
Stopy wśród starych i nowych ścieżek.
Tylko wygłodniałe serce nie trzyma się ciała
Wciąż galopuje. Pełno go w oficynie, kościele
Na łąkach aż po Łydyni zakola… och moja;
Amelio, Delfino, Joanno – każdą Twą postać
Rosa ściga rydwanu brzaskiem…
Już spadły wszystkie gwiazdy i kasztany
Znajomy pająk zaciąga zmierzchu kurtyną
Widziałem… widziałem moją dziewczynę

Zostać w Opinogórze

Kamienie oczu z ulicy twarzy
Rzucone w ognisko światła
Nie całkiem są gorące pod niebem krzaczastym.

A nuty z oficyny trącają się
Jaskółczym rytmem na liniach dłoni
Pociętym w palce.

Zapach pokoi, drzew, kościoła
Szalony w tańcu uwiedzenia
Aż do gwiazd miodowej skóry.

I kręgosłup w gościnie u Zygmunta
Nie może się skrzywić
W objęciach wysokich ramion.

Za plecami płaszcz kasztanów
Jak noc umówiona okrywa ciszę wzniesień
Po trzykroć!

Ach zostać tu gdzieś jeszcze…

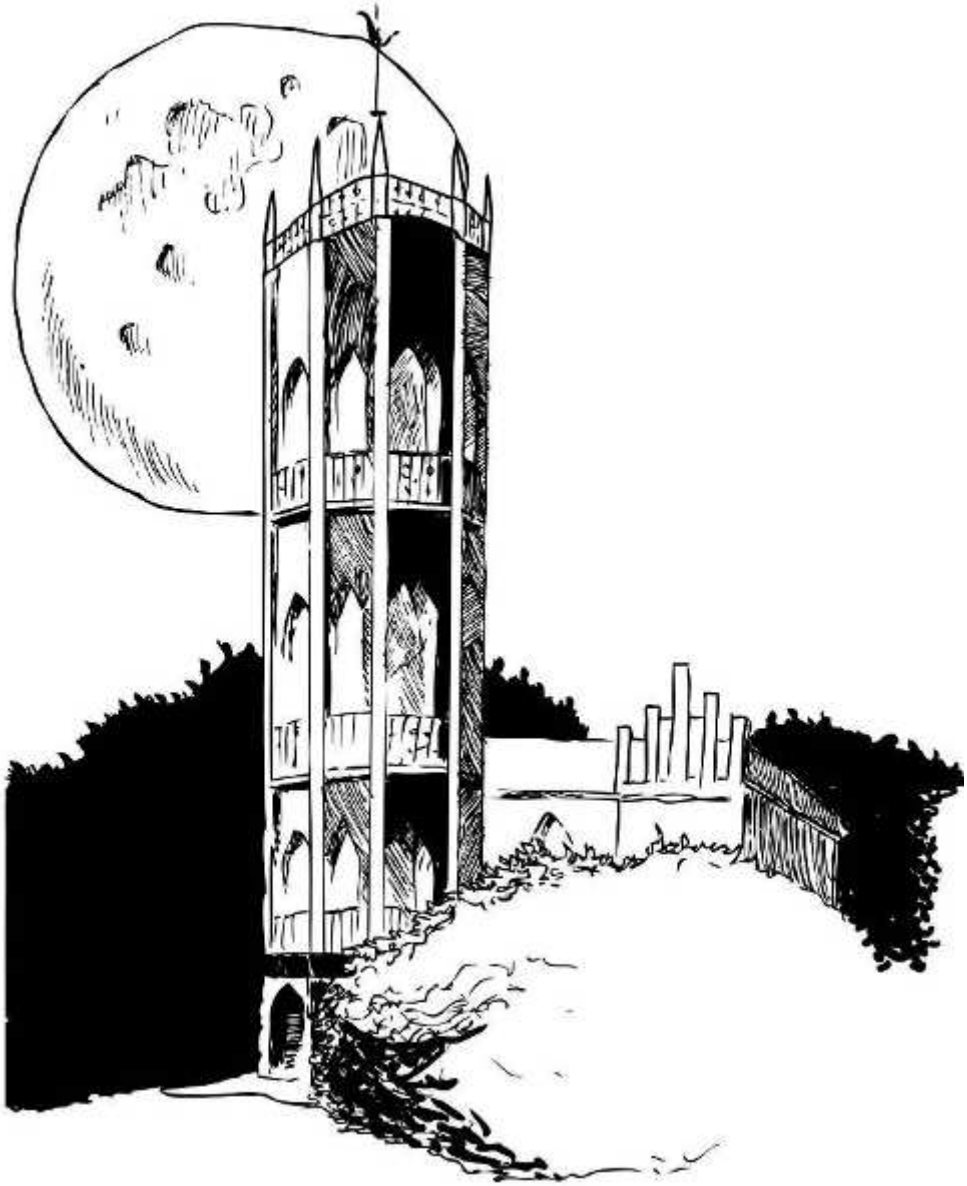

Opinogóra wieczorem

W Opinogórze wieczorem jest cicho,
Podnosi się każdy liść kasztanów
I przykleja do gwiazd –
Jaskółek nocy.

Ryby zielonych stawów
Wysysają mgłę z koronek
Kaczej rzęsy.

Lampy w ołtarzach pęcznieją
Do progów i dalej w koleiny
Tęsknoty.
Zygmunt prostuje kości
A skrzypienie rozgrzanych
Przez dzieciaki butów
Chowa w mosiężnej pamięci.
Najwięcej jest ciszy w oficynie
Gdy ostatni wiersz usypie klawiaturę fortepianu

A nad dzbanem dojrzałym promieniami księżyca
Dłoń znajoma; gasi i rozświeca liście kasztanów.

Na deszczowy wjazd do Verony

Julie kochają
Deszczowe dni
Kiedy igły
Cyprysów
Szukają serc
Zachmurzonych.

Rozkładają parasol
Włosów
Od autobusu
Aż do cukierni.
A Ich kochankowie
Pogodowo wierni
Przenoszą
Kamienie łez
A może słów…
I znów stanęła
Na balkonie
Miłość autobusowa
Tu w Veronie.
Taka głośna
Jak dzwon katedry
Taka cicha jak dzwon
Kilka chwil później
Wciąż podobna
Różnie.

Verona 18 VIII 1998

Tętno 1051

Spomiędzy ramion
Zielonego krzyża
Tętno 1051 na jedną
Wielkość

To prawie zawał
Gdy śpiewają
… jeszcze…

Tętno 1051
Dla Ciebie
I jaszczurki
Przewodnika

Spomiędzy ramion
Zielonego krzyża
1051 uderzeń na
Jedną, Jedyną
Wielkość
– uciekaj…

Monte Cassino 21 VIII 1998

Czarnulka z Montserrat

Dzwony Montserrat spadają w dolinę
Na wszystkie drogi pielgrzymowania
By wrócić obolałe do Twoich stóp.

Wśród ciast i nalewek
Czarnulka wysoko
W progu nieba.

Za zasłoną świec
Zmienia nieszczęścia
W skały.

Hiszpania, Montserrat, sierpień 1995

Wieczór w San Sebastian

Noc nie może znaleźć schodów
Z północnego wzgórza, chociaż
Palec jedyny nad miastem
Z gwiazdami w zatoce
Wiruje, jaśnieje.

Trzeba placu białego
Pod girlandy krwi,
Taniec ognia.

Ach… ocean zszedł z areny
Zasłuchany w piwne śpiewy,
Oszronione pod mostami,
Gdzie nigdy czas
Samotnie nie chodził.

Noc nie może znaleźć schodów,
Aby uśpić miłość
Placów do uliczek.
I jest niebo trzecie…
Dokąd zechcesz wracać nocy niewyśniona

Hiszpania 19 VIII 1995 r.

Wiersz Alpejski

Z doliny wysokich traw,
Zawsze
Zaplecionych w wiersze
– z Polski –
Nie łatwo pojechać
Pod wysokie
Serce.

Tu w Klamm
Jest pod każdą ręką,
Bo przyjaciel się skłania
Jak ciepły świerk,
Cicha magnolia
Snu sąsiadka
I brzoza zapracowana.

Nie potrafię jeszcze nazwać
Tak wielu zacieni,
Gdy obraz za obrazem staje
W legendy szeregu.
A to jest miłość
Z tym pięknym krajem
Podczas wspólnego śpiewu.

O Gaudim

Kiedy ludzie zaczęli mieć wątpliwości
Jak położyć słońce na cegle
Bóg im zesłał swojego architekta.

Pamiętał Gaudi jak Pan lepił Adama.
Wziął do ręki kamienie i układał
Pieśni, aż pod Barcelońskie niebo.

Chciał pokazać też zakątek raju.
Pomieszał kwiatom i budowniczym w głowach
A kształty oszalałe do dziś
– nie przystają do ziemi.

Barcelona 07 VIII 1995

Z poetą

Na płonącej różowo
Via Grana
Głowa skrzyżowana
Wiersze trzymane kamieniem
– Bądź cieniem…!

Inaczej zerwę
Łańcuchy miasta
I zgaśnie Via Grana
Różowa i rozśpiewana.

Madryt 17 VIII 1995

Dom w Lourdes

W Lourdes taki dobry dom
Ze świerkiem dozorcą
Wyprostowanym światłem
Skalną fałdą sukni
Przytuloną do policzka
Zabraną łzą
Żyrandolami rąk i nóg
I kranami w sercu.
W Lourdes taki dobry dom
Daleki od mieszkań…

Lourdes 20 VIII 1995

Schody zamiast balkonu

Julia znalazła mnie
Na Campingu w Palamos
Zeszła w cztery schodki
A inne czekały.

Opuściła rzęsy aż po sarnie pląsy.
Powiedziała… na pewno powiedziała
I odeszła…
A ja mieszałem zupę, zgodnie z przepisem
Przez jedną minutę.

Palamos 08 VIII 1995

„Taormina"

Na imię Jej Taormina
Nieśmiało;
najpierw na skałkach,
później tuż przy lądzie
zaplata zmoczony warkocz korali.
Napełnia oliwne lampy
w Teatrze Greków.
Zaniosła ofiary
do kuźni bogów,
a gdy noc późni,
płoną Jej koronki
w zgięciach pachnących dolin.

I zaczęła sen kołysać
Z moim Chopinem
uśmiechem co krok otulanym dłońmi
na ciepłych schodach kościołów
i kolumnami, kolumnami zapachów
ze świątyni powrotów.
Na imię Jej Taormina…

25 VIII 1998

Caravaggio

Wojtkowi Cieśniewskiemu

Tyle razy uciekałeś
W brązy nocy,
Zostawiając ewangeliczne tropy.
Dziś jeszcze
Każesz mi pisać do Ciebie
Bez odpowiedzi.
Ale gdybyś –
Przez wskrzeszenie Łazarza –
Obrócił ramię,
Pójdę z Tobą
Z mojej Betanii,
Pełnej rozbarwień i zacieków.
Gdybyś tylko obrócił…
I nie wiem co z nami
W brązach nocy uczynił
Zawsze Twoje:
Światło, pędzel i nóż
Zmieszczą się w listach
Bez odpowiedzi

Messina 27 VIII 1998

Lwowska nuta

Jakże pocięte są bruki Lwowa
Pieśnią tramwajów na emeryturze
A za każdym kształtem kościoła
Polska zapisana w murze.

Katedra Matka zasiadła szeroko
Wśród poetów przy źródle miasta
A Jej siostra u św. Jura spogląda
Tam gdzie historii usypana góra.

I tylko wyciągnięta szyja Łyczakowskiej
Dziwi się wiatrom Podola
Że stale nucą pieśń Chodkiewicza, Sobieskiego
I z samego Lwowa.

A ta ostatnia ciągle żywa, młoda i cięta
Jak wróżba spadającej gwiazdy obok Ordona
Wprost na śpiące Orlęta.

Tu chodzisz wśród kolorów śpiącej bieli
Wprost z dolinki na wzgórze i w dolinkę
Coś na kształt pozostawionych dłoni.

I tak Ci śmielej i śmielej
Bo z Tobą nuta w śpiącej bieli żywa
Gdy krew z buntem z twarzy odpływa.

Teraz wiesz jak się śpiewa
Na Lwowską nutę
A także i to, że Batiarów nie ma.

Lwów 25 VII 2001

Prośba o świętego

Panie, daj nam świętego od własności
Tej z pelargoniami i szeregami drzew
W alei zapomnianej.

Daj Panie tego, kto rozświetli
Nocne ścieżki gwiazdami nazwanymi
I strąci meteoryty nieuczciwych.

Daj Struża od kamieni w polu,
Zamkach, dworach i kościołach
Różnie strzelistych.

Daj Panie Świętego, jak dajesz
Od spokoju, chleba, cmentarza i miłości
Daj od świętej własności.

I Żebyś nie martwił się
Po której słońca masz szukać stronie
Spójrz na Bieniakonie.

Tu ziemia chropowata i ciągle zatęskniona
Jak On i Ona, i jeszcze tak ukochana
Z brzóz i kamiennego lica
Jak w wierszach Michała Wołosewicza.

To on w Bieniakoniach właśnie od kamienia,
Cmentarza, drzew, poezji i miłości
Taki ziemski święty, od świętej własności.

Białoruś, Bieniakonie, Gaik bolcienicki, 11 XI 1998

Lato w Purdzie

Wysuszone Oko Warmii
Nad ramieniem pełnym żagli
Z malowaną rzęsą zbóż
Przetacza słońce po plecach żniwiarzy.

Kobiety wyciągają ręce
Spod soczystych piersi
Zagniatając niedzielną kuchę

Z wypalonej brzozy pod kominem
Ryba krasnopióra mgłą trzepoce.
Cichy wieczór niby sutanna proboszcza
Topi sarnie marzenia w przytulonym lesie.

Tu święto istnienia podzielono
W czas Maurycego, Cyriaka i Narcyza
Ale uścisk mosiężny, przyjazny.

W zapatrzeniu stoją powroty
Pochylone sosny.

Ciechanów Konopnickiej

W 100. rocznicę Jej śmierci

To dopiero początek XX wieku
Syn Jan dzierżawi młyn
I miele kolejne dni
Schodzące z Fary
Dzwonami.

Śmieszna i wytarta ta moja suknia
Od dołu z wyraźnym szlakiem kurzu z targowiska
A z boku wyciśnięta mącznymi zakupami
Dla mieszkańców Nadrzecznej
Tylko kapelusz ptasi się wśród Ciechanowian.

Wczoraj zakręciło mi się w głowie
Wraz z młyńskim kołem
Łydynia zapraszała do tańca
Po rozmokłych łąkach, gdzie w krasnoludków świecie
Jest tak harmonijnie i beztrosko.

Moja, podmokłością wyrosła, Polskość
Podnieś spracowaną dłoń
I dzwoń, dzwoń na każdy wolny dzień.
To dopiero początek XXI wieku
Syn…

Konstrukcja doskonała

Mgła przysiadła tuż nad Łydynią
Z siwą brodą przeczesaną wód kryształem
To miasto widziałem…

Przytulone drzewa do latarni
Kryją cienie takielunku rąk oryli
I jakby wzrok się mąci, myli…
Znoszą krasnale legendy z Fary
W ognisty zachód, w ciszę betonu
pod lasem
I tak myślę czasem…

Że nie spiszę rytmu
Dni, serc i brył tysiąca
Ducha jutra, co jak łza milcząca
– jest konstrukcją doskonałą.

Granice Ciechanowa

Łączność z satelitą
Gdzie tak blisko i daleko od Boga
Oczyszczalnia biologiczna grzechów
Nadzieja w samochodzie bez tablic

Świeże święta jak bułeczki serduszkowe
Proporczyki, kwiaty i neony
Elektroniczne duchy na zamku
Oczy elektronowe w ratuszu
… i jakby to miasto w pole wyrzucone
poza Domu tajemnicę, w paszcze wiatrów
kwitnie i niknie za progiem
A jest tu miejsce jak w każdym domu
Gdzie ojciec siada mówić z synami
Wyciszone żółtą rosą, nieba papirusami
Wyniesione i rozległe aż po snu depresję
O którą tłuką ptaki pozamroczne.
Dopisuje się tu poemat
Grzejący mosiężną pięść dzwonnicy
Od granicy do granicy.

Aforyzm dla Ciechanowa
(spisany na koniec II tysiąclecia)

W krzewnym zakolu Łydyni
Na skończone tysiąclecie
Siada poeta nad piwem
I litery w kartce gniecie.

Dziś Piotrowe strony
Spisać mu wypada
I choć trzecia szklanka pusta
Kartka czysta, roześmiana.

Cóż… tabula rasa
Z poetyckiej głowy
Bo jakże tu rozpisać
Ten Ciechanów Piotrowy?

Kiedy od strony Kościuszki
Fundamenty Święte stają
Tu na Lateranie Ciechanowa
Skrzyneckiemu hołd oddają.

Zgodność imion wielka
Gdyż o Piotra idzie
Ale co na to inni:
Wojciechy, Marki, Ewy,
Teresy czy Stefany
Czy nie zechcą uszczknąć także

Rąbka sławy
I przez swoje święto-artystyczne triki
Postawić własne pomniki?

Tak więc dopija poeta
Drugie tysiąclecie
Z aforyzmem dla miasta takim:
Świętych i artystów
Ciechanów z radością wita,
Gdyż tu ziemia pod pomniki znakomita.
I nie trzeba kłócić się, petycji wnosić
Bo Tej Ziemi pod pomniki dosyć!

Ciechanów 27 VIII 1999